



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

numer 9 (213) wrzesień 2008

Tekst: **Barbara Morawska-Nowak**, zdjęcie: **Anna Puzio**

Górka zwycięstwa pod Wiedniem

Wrzesień jest miesiącem kojarzącym się źle nam Polakom, zwłaszcza w związku z II wojną światową. Klęska wrześniowa 1939 roku, upadek powstania warszawskiego 1944.

Były wszak inne wrześnie, jak ten w 1683 roku kiedy Polska i jej król Jan III Sobieski były na ustach całej chrześcijańskiej Europy. Odkąd w VII w n.e. zaczął się rozszerzać islam Europa stała się zagrożona jego ekspansją, a Polska nieraz musiała odpierać ataki Tatarów i Turków. Zwana była przedmurzem chrześcijaństwa.

W marcu 1683 roku armia turecka pod wodzą wielkiego wezyra Kara Mustafy przekroczyła granice Austrii i podeszła

pod Wiedeń. Rozpoczęło się oblężenie miasta. Cesarz austriacki Leopold I ze swym dworem ewakuował się do Linzu. W kwietniu zawarł przymierze o wzajemnej pomocy na wypadek wojny z Turcją z królem polskim Janem III Sobieskim, znanym z wielu wcześniejszych bitew z wojskami tureckimi i następnie wezwał go na pomoc. 29 lipca 1683 roku armia polska wyruszyła z Krakowa z odsieczą nad Dunaj. 11 wrześ-

nia na wzgórzu Kahlenberg (500 m n.p.m.) znajdującym się na północno-wschodnim krańcu Lasku Wiedeńskiego, skąd rozciąga się wspaniały widok na miasto stanęła polska husaria. Dowództwo całej bitwy powierzono Sobieskiemu. 12 września po mszy św. odprawionej w zniszczonej kamedulskiej kaplicy król przemówił do swoich żołnierzy: „*Walczymy za naszą ojczyznę i za chrześcijaństwo, walczymy nie za cesarza lecz za Boga*”.

12 września 1683 roku została stoczona bitwa w której Turcy ponieśli sromotną klęskę, po której już nie próbowali więcej atakować Europy. Sobieski na czele połączonych wojsk polskich (ok. 27 tys.) i austriacko-niemieckich (ok. 43 tys.), rozbił oblegającą Wiedeń armię turecką (ok. 110–115 tys.). Do zwycięstwa szczególnie przyczynił się atak polskiej husarii,

która niespodziewanie z góry natarła na rozłożony obóz turecki. Turcy wraz z ich wodzem, Karą Mustafą uciekali w popłochu. Nazajutrz Sobieski witany entuzjastycznie przez mieszkańców wjeżdżał tryumfalnie do Wiednia.

Kahlenberg w średniowieczu pokryty był gęstym, dębowym lasem, obfitywał w zwierzynę i był wyśmienitym miejscem książęcych polowań. Od połowy XIII w. właścicielami wzgórza byli zakonnicy z Klosterneuburg, w XVII wieku przejęli je kameduli.

W latach 1629-39 na Kahlenbergu zbudowano kościół pw. św. Józefa. Nawała turecka 1683 r. zmusiła zakonników do ucieczki

do Linzu. Kameduli opuścili Kahlenberg po kasacji zakonów za panowania cesarza Józefa II. Z okazji dwustulecia odsieczy wiedeńskiej ufundowano na Kahlenbergu tablicę upamiętniającą Sobieskiego i pozostałych członków koalicji antytureckiej. Ostatecznie, w 1906 roku kościół oddano pod opiekę zakonowi Zmartwychwstańców i stał się polskim sanktuarium. W 1930 r. [kaplicę Jana III Sobieskiego

przyozdobił malowidłami ściennymi Jan Henryk Rosen ze Lwowa. W kaplicy umieścił też herby wszystkich rycerzy biorących udział w odsieczy wiedeńskiej. W 1933 roku obchodzono 250 rocznicę odsieczy, a papież Pius XI ponownie podkreślił rolę polskiego króla w obronie chrześcijaństwa.

Kilka dni temu obchodzona była w Krakowie 325 rocznica zwycięstwa oręża polskiego pod Wiedniem (*na zdjęciu*). W rocznicę bitwy Kardynał Stanisław Dziwisz odprawił uroczystą mszę św. na Wawelu. W sobotę wieczór można było obejrzeć na krakowskich Błoniach widowisko batalistyczno-historyczne – improwizację bitwy, a w niedzielę orszak królewski z Wawelu na Rynek, w strojach z epoki, w tym paradę rycerstwa na koniach. Było jeszcze wiele imprez towarzyszących, a początek dał rajd rowerowy Kraków-Wiedeń (*patrz: CS 210 i 211*). ■



CO SŁYCHAĆ w numerze:

TAM SZUM PRUTU, CZEREMOSZU...

Dolomity zawsze piękne i groźne

Ważne informacje od Skarbnika ZG PTT



CO W „TATRACH”?

(tekst: Barbara Morawska-Nowak)

Otrzymałam z TPN nowy numer – nr 3 kwartalnika Tatrzy” z wiodącym tematem „Kornik drukarz”.

Kłęska kornika w górskich lasach świerkowych od dawna mnie martwi, ale temat ucieszył mnie, gdyż wiele spraw wyjaśnionych zostało przez fachowców odnośnie tego kłopotliwego chrząszcza i problemów z jego zwalczaniem. W lasach państwowych, gospodarczych usuwa się drzewa opanowane przez korniki głównie ze względu na wartość samego drewna jako towaru.

Na szczęście w lasach chronionych w parkach narodowych nie ingeruje się przyjmując, że kornik jest naturalnym elementem ekosystemu i jako taki, także podlega ochronie, a przyroda sama się reguluje. Zaleca się najwyżej dosadzanie buków i jodeł w reglu dolnym w ramach przywracania pierwotnego składu lasu. A już oczami wyobraźni widziałam masowy wyręb regli opanowanych kornikiem.

Odnosnie lasów tatrzańskich opublikowane zostały także materiały, przekazane onegdaj przez red. Adama Liberaka – artykuł jego Ojca i wspomnienia jego samego jako małego chłopca o pożarze lasów na Szczotach Wołoszyńskich w 1928 roku.

Bardzo ciekawe są wspomnienia związane z siedemdziesięcioletnią działalnością Wysokogórskiego Obserwatorium Meteorologicznego na Kasprowym Wierchu (1987 m n.p.m.) i ludźmi tam pracującymi pióra Apoloniusza Rajwy, który przez jakiś czas sam był pracownikiem obserwatorium.

Mariola Bogumiła Bednarz przypomina postać Bronisława Czecha w stulecie jego urodzin – taternika, narciarza, artystę, ratownika, zamordowanego w Oświęcimiu w czerwcu 1944 roku.

Jest jeszcze wiele innych cennych artykułów, mogących zaciekać, zachęcam wszystkich członków PTT do czytania „Tatr”. ■

Tekst: *Szymon Baron*

Z obrad ostatniego Prezydium PTT

Ostatnie posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego PTT odbyło się 6 września 2008 r. w Krakowie. Tym razem gospodarzem spotkania był sekretarz naszego Towarzystwa, Nikodem Frodyma, a obradowaliśmy w sali konferencyjnej „na Antresoli” Instytutu Fizyki UJ.

Podczas posiedzenia dyskutowano o bieżących sprawach, z których najważniejsze poniżej opisuję.

Jak wszystkim wiadomo, ubiegłoroczny Zjazd Delegatów PTT ustanowił rok 2009 Rokiem Chałubińskiego. Chociaż do rozpoczęcia obchodów zostało jeszcze sporo czasu, czynione już są niezbędne prace nad dopięciem wszystkiego na ostatni guzik. Temat ten koordynuje Barbara Morawska-Nowak. Wiemy już, że obchody Roku Chałubińskiego będą skoncentrowane głównie w trzech miastach: Radomiu, Warszawie i Zakopanem, tym niemniej zachęcamy, by Oddziały organizowały imprezy okolicznościowe i popularyzowały postać dr Tytusa Chałubińskiego w swoich miastach. Myślę, że w jednym z następnych numerów „Co Słyszeć?” będziemy już mogli przedstawić kompletny program obchodów Roku Chałubińskiego.

Głównym tematem kolejnego, już siedemnastego, tomu „Pamiętnika PTT” będzie Rok Chałubińskiego. Podczas posiedzenia Prezydium ZG PTT redaktor Stefan Maciejewski przedstawił koncepcję tomu, w którym oprócz wspomnianego tematu głównego, pojawią się również działy: „120 lat Muzeum Tatrzańskiego”, „Człowiek i góry”, „Dzieńdzictwo”, „Ocalić od zapomnienia” oraz stałe pozycje: „Rocznice”, „Recenzje”, „TOPR”, „Wiersze”, „Kronika PTT” oraz „Listy do redakcji”. Wśród autorów nie zabraknie członków naszego Towarzystwa.

Pisząc o „Pamiętniku” nie można nie wspomnieć o jego dystrybucji. Wciąż mamy bardzo dużo egzemplarzy „Pamiętnika PTT - tomu 15/16”, którego tematem przewodnim jest „100-lecie schroniska nad Morskim Okiem”, do którego zakupu i lektury zachęcam. Niektóre oddziały w ogóle nie zainteresowały się nabyciem choćby kilku egzemplarzy. Osoby zainteresowane rozprowadzaniem „Pamiętników” również są mile widziane.

Kolejnym ważnym tematem poruszonym na Prezydium była sprawa lokalu dla Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Po długich poszukiwaniach udało się w końcu znaleźć lokal, który jesteśmy w stanie utrzymać. Znajduje się on wprawdzie w Nowej Hucie, a więc niezbyt blisko centrum Krakowa, lecz z drugiej strony będzie to nasz lokal. Teraz wypada poczekać na finalizację tego tematu i być może kolejne posiedzenie Prezydium będziemy mogli zorganizować już „u siebie”.

Każdy korzystający z naszego serwera ptt.org.pl zdaje sobie sprawę, że stabilności komercyjnych portali raczej nie będziemy mieli. Kilka oddziałów już przeniosło swoje strony internetowe na inne domeny. Na szczęście, dzięki staraniom Michała Myśliwca już wkrótce będziemy mieć stabilny serwer wirtualny, dzięki uprzejmości jednej z profesjonalnych firm. Poczekajmy na sfinalizowanie tego tematu, choć już teraz możemy powoli cieszyć się na myśl o większej stabilności naszej strony i poczty elektronicznej.

Na koniec jeszcze jedna ważna informacja. Z uwagi na to, że wielu członkom Zarządu Głównego, październikowy termin posiedzenia ZG PTT nie odpowiada, uchwalono przeniesienie terminu najbliższego posiedzenia Zarządu Głównego PTT na sobotę, 8 listopada 2008 r. Miejsce bez zmian – Kraków. Dokładniejsze informacje na temat posiedzenia wraz z porządkiem obrad zostaną rozesłane z dwutygodniowym wyprzedzeniem. ■

Tekst i zdjęcia: *Włodzimierz Janusik*

Dolomity zawsze piękne i groźne

Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego nawiązując do starych tradycyjnych zwyczajów zorganizował w sierpniu 2008 roku wyprawę w Dolomity. Wspierały nas jako samodzielne grupy: oddziały z Radomia i Sosnowca. W naszej grupie była też jedna osoba z oddziału w Jaworznie. Razem po dolomickich ścieżkach wędrowało 21 osób w grupie łódzkiej, sześć w radomskiej i sześć w sosnowieckiej.

Była to jedna z najliczniejszych wypraw co sprawiało pewne problemy, jednak nie przysporzyło dużych kłopotów. Główne założenie wyprawy było jednoznaczne – ferraty, ferraty i jeszcze raz ferraty...

Zaczeliliśmy od ferraty Marino Bianchi na Monte Cristallo. W nocy śnieg pokrył szczyty powyżej 2500 m. Była to dodatkowa atrakcja, ale też dodatkowe utrudnienie. Wjechaliśmy kolejkami linowymi do schroniska Lorenzi na wysokość 3003 m n.p.m. Zaoszczędziło nam to kilkudziesięciu podejścia nieciekawymi piargami. Ferrata jest poprowadzona na dużej wysokości i nie należy do bardzo trudnych, ale przy zaśnieżeniu przysparza kłopoty. Przepiękne widoki w stronę Cortiny i Misuriny z jednej strony, a głębokie przepaście z drugiej, zapierały oddech. Wspinaczka w stromych kominach, pokonywanie drabin i klamer powodowało wzrost poziomu adrenaliny we krwi nowiejuszy. Po trzech godzinach osiągnęliśmy upragniony szczyt. Informacja, że zbudowano dodatkową ścieżkę zejściową obchodzącą najtrudniejsze fragmenty trasy, została przyjęta entuzjastycznie. Po zejściu do schroniska zdążyliśmy jeszcze na spacer na 30-metrowy wiszący most, najdłuższy w Dolomitach, i ostatnią kolejką zjechaliśmy na przełęcz Tre Croci. Przy zachodzie słońca oglądaliśmy jeszcze piękne widoki nad jeziorem Missurina i późnym wieczorem zameldowaliśmy się na kempingu Sass Dlacia koło miejscowości Armentarola.

Następnego dnia pobudka jak zwykle o 6 rano i wyjazd na Brigatę Tridentinę, kultową ferratę, na której jest zazwyczaj duży tłok. Tak było też gdy i my wchodziliśmy. Kilka osób przeraziło się pionowych ścian i poszło drogą normalną do schroniska Pisciadu, jednak 14-osobowa grupa w dużym tłoku, stojąc jeden drugiemu „na głowie”,

posuwała się w żółwym tempie do góry. Przepiękna droga wyprowadzała w partiach szczytowych do przewieszzonego okapu, którym wyszliśmy na urokliwy wiszący mostek. Sesja zdjęciowa zakończyła wspinaczkę.

Nad przepięknym jeziorkiem przy schronisku Pisciadu mieliśmy dłuższy odpoczynek. Zejście normalną drogą to był już tylko spacer. Na dole, na przełęczy Gardena, okazało się, że Kasia zostawiła w toalecie przy schronisku portmonetkę z pieniędzmi (około 450 euro). Byliśmy mile zaskoczeni, gdy po rozmowie telefonicznej okazało się, że zguba jest do odbioru. Kasię i mnie czekała ponowna droga w górę i w dół, razem około 4 godzin. Pokonaliśmy trasę bez problemów i wieczorem razem ze wszystkimi planowaliśmy na kempingu zadania na następny dzień.

Wybór padł na ferratę na Piz da Lech. Pogoda nie zapowiadała się dobrze. Rano było mgliście i zimno. Na wysokości 3000 m n.p.m. temperatura spadała do 3 stopni. Podobnie jak na Monte Cristallo, wsparliśmy się kolejką linową zaoszczędzając siły i czas. Przy podejściu pod ferratę zmyliliśmy drogę, i przy okazji znaleźliśmy się na niezaplansowanej, ale bardzo ciekawej (m.in. wiszący, bujany mostek nad wodospadem) ferracie na Piz Boa. Przeszliśmy ją w obie strony i po 2 godzinach byliśmy na właściwej trasie. Część osób zrezygnowało w tym dniu z ferraty i podeszło zwykłą drogą na szczyt. W czasie, gdy zczyliśmy ferratę na Piz da Lech, druga grupa była już na szczycie. Ferrata na Piz da Lech ma wspaniały moment

kluczowy przy wyjściu z dwóch pionowych drabin, gdzie skały są lekko przewieszane. Problemy miały dziewczyny z krótkimi nogami, tym bardziej, że cała akcja odbywała się nad przepaścią. Później to już tylko dojście do szczytu (ponad 3000 m n.p.m.), zdjęcie przy dużym zamgleniu, wpis do książki pamiątkowej pod krzyżem i szybkie zejście do górnej stacji

kolejki. Zmęczeni, ale zadowoleni z pokonania trudnej drogi przy pieskiej pogodzie, dotarliśmy samochodami do kempingu.

(dalszy ciąg opowieści o ferratach w następnym numerze „Co Słysać?”)



ferrata na Monte Cristallo



30-metrowy mostek na Cristallino D'Ampezzo

Tekst i zdjęcia: *Szymon Baron*

Tam szum Prutu, Czeremoszu...

Wycieczkę w Czarnohorę, najwyższe pasmo Ukrainy planowałem już od dłuższego czasu. Kilkakrotnie stawał mi na przeszkodzie brak dogodnego terminu, ostatnio oba majowe weekendy spożytkowałem w inny sposób. W końcu udało mi się pojechać tam podczas sierpniowego urlopu.

Już od dłuższego czasu byłem odpowiednio przygotowany do tego wyjazdu: zaopatrzyłem się w mapy, kupiłem hrywny, posprawałem dogodne połączenia kolejowe i autokarowe. Jed-

nego nie mogłem przewidzieć – dwa tygodnie przed wyjazdem przez interesujące mnie obwody iwano-frankowski i zakarpacki przeszła powódź dokonując kolosalnych szkód. Wstępne szacunki mówiły o 40 tysiącach podtopionych budynków i blisko

34 tysiącach hektarów zatopionych pól uprawnych. Żywiol uszkodził 360 samochodów oraz 561 pieszych mostów. Zniszczeniu uległo ok. 680 km dróg i linii kolejowych. Innymi słowy, wyjazd w Czarnohorę nie rysował się w różowych barwach.

W końcu nadszedł długo oczekiwany dzień wyjazdu.

Z Bielska-Białej wyjechałem późnym wieczorem, 8 sierpnia 2008 r. W Katowicach miałem się spotkać z Januszem Machulikiem i razem pociągiem pośpiesznym mieliśmy udać się do Przemyśla. Tak też się stało, tyle, że z niemal dwugodzinnym opóźnieniem. Do Przemyśla dojechaliśmy rano, busem podjechaliśmy do granicy w Medyce, którą przekroczyliśmy piechotą. Do Lwowa dostaliśmy się marszulką.

Już we Lwowie zdecydowaliśmy o zmianie trasy. Początkowo planowałem rozpocząć wędrowkę w Dżembroni, a zakończyć w Kwasach lub Jasini, które znałem z poprzednich wypadów. Jednak wizja szukania późnym wieczorem transportu z Worochty do Dżembroni, nie mając do tego informacji o szkodach popowodziowych w tym rejonie skłoniła nas do wybrania trasy odwrotnej. Kupiliśmy bilety do Kwasów, wiedząc, że szlak zaczyna się tam nieopodal stacji kolejowej. Wybraliśmy drugą klasę, czyli wagon typu *plackartnyj* i już po kilku godzinach, około 23 byliśmy w Kwasach.

Namiot rozbiliśmy obok charakterystycznej ruiny, będącej niedokończoną turbazą.

Poranek przywitał nas mgłą i potężnymi chmurami. Nie wróżyło to dla nas nic dobrego. Umyliśmy się, zjedliśmy śniadanie, spakowaliśmy plecaki i przy lekkiej mżawce ruszyliśmy na szlak. Pierwszy, dość nieoczekiwany postój na trasie mieliśmy przy budce Straży Parku – za wstęp na teren Karpackiego Parku Narodowego

musieliśmy zapłacić po 10 hrywien od osoby za dobę oraz 8 hrywien za namiot. Po krótkiej dyskusji ze strażnikiem, przedstawivszy mu skróconą o dwa dni wersję planowanej trasy, zaoszczędziliśmy parę hrywien i ruszyliśmy dalej. Deszcz padał coraz mocniej, a jedyny widok, jaki dane nam było zobaczyć tego dnia to pasmo Świdowca na samym początku trasy.

Cały dzień poruszaliśmy się żółtym szlakiem oznaczonym dodatkowo liczbą 15. Tego dnia udało nam się wejść na Pietrosa (2020 m n.p.m.), na którym we mgle mogliśmy zoba-

czyć wygięty przez wiatr, burzę lub wandali krzyż oraz trafiony przez piorun drewniany budynek (prawdopodobnie kapliczkę). Nocleg spędziliśmy u podnóża Pietrosa. Po całym dniu marszu w deszczu nasze ubrania i buty były mocno przemoczone i nie dawały większej nadziei na komfortową wędrowkę w ciągu następnych dni.

Następny poranek przywitał nas piękną pogodą. Po chmurach, które poprzedniego dnia nie opuszczały nieba nawet na moment nie było śladu, słońce prażyło, mimo, że było przed 6 rano. Pietros ukazał nam się w całej okazałości. U podnóża gór mogliśmy podziwiać morze mgieł. Było niesamowicie pięknie. Niestety, buty i ubrania nie

przeszły do końca, postanowiliśmy więc nie spieszyć się ze startem. Ułożyliśmy wilgotne rzeczy na kamieniach i zabraliśmy się za śniadanie.

W międzyczasie nasze ubrania wystarczająco przeszły, mogliśmy więc spakować się i ruszyć w dalszą drogę. Tego dnia było nam dane podziwiać przepiękne widoki. Wędrowaliśmy przez lasy, połoniny, by w końcu stanąć u podnóża Howerli – najwyższej góry Ukrainy.

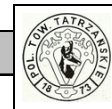
Przez cały dzień dopisywała nam pogoda – jedyny mo-



biwak u podnóża Pietrosa



Howerla widziana spod 38 słupka granicznego polsko-czechosłowackiego



ment, gdy znaleźliśmy się w chmurach miał miejsce, gdy staliśmy na szczycie Howerli (2061 m n.p.m.). Przed Howerlą i za nią pogoda była wręcz wymarzona. Na szczycie w tej chwili znajdują się cztery charakterystyczne punkty: wiekowy już obelisk, ukraiński trizub (trójząb) i flaga państwowa oraz krzyż. Na szczycie spotkaliśmy sporo Ukraińców, którzy podchodzili najpopularniejszym szlakiem z Zaroślaka.

Spod szczytu Howerli w oddali widzimy charakterystyczny budynek obserwatorium na Popie Iwanie – tam zamierzamy dojść następnego dnia. Wędrując dalej żółtym szlakiem (po tej stronie Howerli oznaczonym 14-tką) docieramy w okolice źródeł Prutu i dalej okopów z czasu I wojny światowej.

Wędrujemy wzdłuż dawnej granicy polsko-czechosłowackiej. Przy słupku granicznym nr 38 robimy pamiątkowe zdjęcie Howerli, wyglądającej z tej strony przepięknie.

Tutaj mała dygresja odnośnie szlaków na Ukrainie. Wędrowałem już po Świdowcu i Czarnohorze i wszędzie spotykałem tylko żółte szlaki (nie licząc starych, jeszcze polskich czerwonych znaków). Szlaki te przecinają się na wszystkie możliwe sposoby i jedynym sensownym sposobem na zorientowanie się, w którą iść stronę, o ile nie ma drogowszkazy, jest mapa lub zdrowy rozsądek. Może jeszcze trochę topograficznych zdolności...

Tego dnia doszliśmy nad malowniczo położone Jezioro Niesamowite. Noc spędziliśmy w namiocie obok piętnastu innych, ukraińskich namiotów. Pamiętam, że gdy cztery lata temu wędrowałem po Świdowcu, spotykałem Polaków, Czechów, a nawet Hiszpana – Ukraińców było niewiele. Tutaj, w Czarnohorze nie spotykaliśmy nikogo innego, niż miejscowych turystów.

Kolejnego dnia ruszyliśmy w najdłuższą, jak się okazało, trasę. Planowaliśmy dojść do Popa Iwana, a może nawet dalej. Nieco zbaczając ze szlaku zdobyłem Rebrę (2001 m n.p.m.), trzeci na naszej trasie ukraiński dwutyśnięcznik. Janusz czekał na mnie przy szlaku. Kolejny dwutyśnięcznik, Gutin Tomnatik (2018 m n.p.m.), położony nieco na bok od szlaku ominęliśmy. Nie weszliśmy również na Brebeneskuła (2037 m n.p.m.), trawersując tę górę zachodnim zboczem.

W końcu około 15, po kilku godzinach wędrowki

dotarliśmy do podnóża Popa Iwana (2022 m n.p.m.). Zostaliśmy plecaki i niczym nie obciążeni weszliśmy na ten, trzeci co do wysokości szczyt Czarnohory. Na szczycie, staraniem rządu II Rzeczypospolitej, zbudowano w latach 1936-1938 Obserwatorium Astronomiczno-Meteorologiczne nazwane później potocznie „Białym Słoniem”. Obecnie jest to ruina, choć w nienajgorszym stanie. Czytałem, że Ukraińcy planują odbudować obserwatorium w tym miejscu. Uważam, że jest to interesująca inicjatywa.

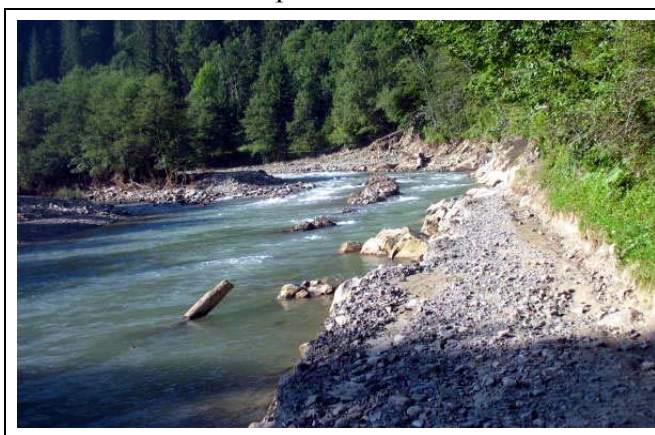


ruiny polskiego obserwatorium na Popie Iwanie

Z Popa Iwana, pomimo wyczerpania długim marszem, postanowiliśmy zejść niżej. Zegarki wskazywały dopiero szesnastą, ruszyliśmy więc w stronę Smotreca (1901 m n.p.m.). Podobno na szczycie tym podczas I wojny światowej znajdowało się główne stanowisko dowodzenia armii austriackiej, do dzisiaj zachowały się okopy oraz naturalny bunkier, wówczas wsparty drewnianymi stemplami.

Ze szczytu Smotreca zeszliśmy do Dżembroni. Na pytanie o autobus dowiedzieliśmy się, że nie jeździe, bo droga jest zerwana i czeka nas 20-kilometrowy spacer do Ilczy. Noc spędziliśmy w chacie u Paraski, która przenocowała nas za 20 hrywien od osoby. Wzięliśmy prysznic, zjedliśmy normalną kolację, by następnego dnia wrócić do cywilizacji.

Rano, po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Droga była w kilkunastu miejscach podmyta przez burzliwy Czeremosz, mosty były pozrywane. Sieć elektryczną naprawiona ledwie kilka dni temu. Marsz w stronę Ilczy



podmyta przez Czeremosz droga niedaleko Dżembroni

dał nam się we znaki – miejscami trzeba było kluczyć w zaroślach na wysokiej skarpie, w innych miejscach należało się wykazać znajomością elementów wspinaczki skałkowej i to z ciężkim plecakiem. Na własne oczy widzieliśmy, że burzliwe wody Czeremoszu i nieod-

ległego Prutu wyrządziły naprawdę ogromne szkody.

Na szczęście udało nam się wrócić do cywilizacji. Z Ilczy do Worochty dojechaliśmy autostopem, dalej dwoma autobusami z przesiadką w Stanisławowie wróciliśmy do Lwowa. Tutaj zrobiliśmy zakupy (hałwa, paprykówki, itp.) i... spóźniliśmy się na ostatnią marszulkę do granicy. Po noclegu na lwowskim dworcu, następnego dnia wróciliśmy do domów.

Tekst: *Marcin Kolonko*, zdjęcie: <http://en.wikipedia.org/>

O pewnej samotnej wycieczce w Alpy Ötztalskie

Udało mi się powtórzyć turę sprzed jedenastu lat, gdy moją terapią były góry, wycieczki, obcowanie z przyrodą. Wdrapałem się z 540 m n.p.m. na prawie 1900 m n.p.m. Najpierw kanionem, widowiskowym przełomem rzeki przez 2 godziny, po drabinkach szerokości 80 cm nad kilku-, kilkunastometrowymi małutkimi obrywami. Potem naleśnik w schronisku. Trzymam się według czasu przejścia, jednak Austriacy przemyślnie nie operują godzinami przejść, decyzje taka pozostawiają turystom. Po drodze biegali maratończycy, dla nich rozstawiono posterunki z pićm i bananami. Idę dalej, zważając na to by nie tarasować drogi biegnącym. Droga wije się pośród coraz niższych skał, wreszcie po kolejnej 1.5 godziny odbiega od kanionu w kierunku łąki, wspina się 200 m na poziom ok. 950-1000 m n.p.m.

Tam kolejny posterunek dla maratończyków. Przesuwam wobec tego miejsce popasu na przełęczkę Rieffer Sattel, na poziomie 1240 m. Czuję, że muszę coś zjeść bo pomału opadam z sił. Wreszcie, po 45 minutach forsownego podejścia – jest przełęcz! Tam zjadam część zapasów spakowanych do plecaka jeszcze w Bratysławie.

Po posiłku obieram kierunek na schronisko, położone na poziomie 1420 m n.p.m. Spadają pierwsze krople deszczu, ale udaje mi się dojść na sucho, nie licząc potu.

Gdy dochodzę, pogoda wyraźnie robi się deszczowa. W schronisku grupa Austriaków zabiera się do muzykowania. Widząc moje zainteresowanie, zapraszają mnie do swojego grona. Zaczyna się kilkogodzinna fiesta akordeonistów – przepiękne jodłowania, śpiewy, rozmowa na spokojnie, już po trudach indywidualnych wycieczek. Zostaje zakwaterowany w pokoju, z czystą pościelą. Płacę tego samego wieczoru za pokój. Następnego dnia okazuje się, że w cenie wliczone jest śniadanie! Krajobraz za oknem zasnuwa mgła, która przyszła od dolin oraz regularny deszcz.

Rano budzi mnie wiatr. Ale czysta pogoda! Widok na spowite mgłą doliny zapiera dech. A wyżej będzie przecież jeszcze piękniejszy! Schodzę o 7 do jadalni, ale jeszcze zamknięta. Robię wobec tego rekonesans na zewnątrz – jest chłodniej niż wczoraj, ale w trakcie marszu człowiek się przecież rozgrzewa. Wracam do pokoju i czekam na wspomniane już śniadanie. Chleb smakuje, serwowane jest proste jedzenie, które ma być przede wszystkim pożywne.

Wreszcie wyruszam na szlak. Początek trudny – myślę o podejściu. Nie pamiętałem z poprzedniego przejścia że dalej jest równie trudno, ale o tym zaraz. Podchodzę

na Ötscher (1894 m n.p.m.) – najwyższy punkt wyprawy. Dziś też mają tam biec maratończycy. Austriacy to naród z fantazją, puścić ludzi na taka turę! Ale uczestnicy są ubezpieczeni z helikoptera i przez goprowców na posterunkach, po ichniemu Rettungsdienst.

Po 10 minutach delektowania się panoramą ruszam dalej. Okazuje się, że „dalej” oznacza regularną wspinaczkę i to w dół! Ötscher kończy się nagle 300-metrowym obrywem i widoki z tej części szlaku mogą przyprawić o lęk wysokości. Po 2 godzinach urwisko jest pokonane, trzeba diabło uważać żeby na nikogo nie spuścić luźno leżącego kamienia, no i aby samemu nie spaść niechcący. W trudnych fragmentach jest założona lina poręczowa, jednak w większości zejście polega na szukaniu stopni w skale i pilnym śledzeniu sytuacji na szlaku.

Wreszcie urwiska skalne się kończą. Lecz do zejścia pozostaje – bagatela – kilometr w pionie. Spotykam na

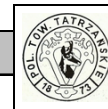


szlaku Austriaków, którzy częstują mnie jabłkiem. Wymieniamy kilka uwag, towarzysz pani turystki zauważa kilkaset metrów niżej stadko kozic. W tym składzie dochodzimy do siodelka 500 m poniżej miejsca, z którego szlak schodzi z grani. Ulga. Jeszcze półtorej godziny i zaledwie 400 m zejścia. Tu rozchodzę się z sympatyczną dwójką turystów i dalej idę już sam.

Odmawiam różaniec, wszystkie części, nikt mi nie przeszkadza. Gubię na chwilę szlak, ale po 3 tajemnicach natrafiam na ścieżkę wiodącą w dół. Trzymam się jej aż dochodzę do drogi, 300 m niżej. Następnie myślę o tym czterokilometrowym odcinku asfaltu, który jeszcze może dać w kość na sam koniec. I staje się kolejny cud – kolejka elektryczna! Podwożę się ostatnie 3 km, dziękuję i płacę panu motorniczemu, który chyba sobie nie zdawał sprawy, ile mi sprawił frajdy.

Zmierzam prosto do zaparkowanego samochodu. W momencie w którym zamykam drzwi samochodu zaczyna padać deszcz. Ruszam i przez następne 3 godziny przemierzam z powrotem 200 km podróżując przez jedną z najintensywniejszych burz tego lata (widoczna na mapach radarowych). Epicentrum, szczęśliwie, minęło region w którym się wspiąłem, o jakieś 50 km. Za Wiedniem wjeżdżam w „oko” burzy. Błyskawice uderzają jedna za drugą, pada ulewny deszcz, nawet myślę czy nie wyłączyć radia, żeby schowała się antena – potencjalny piorunochron. Docieram szczęśliwie do Bratysławy, gdzie potoki płynące ulicami świadczą o zaciekłości żywiolu.





Tekst: *Szymon Baron*, zdjęcie: *archiwum*

Członkowie honorowi PTT

Józef Dietl (ur. 24-01-1804, zm. 18-01-1878) członek honorowy PTT od 22-11-1874

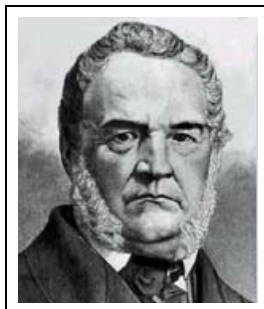
Józef Dietl urodził się 24 stycznia 1804 r. w Podbużu koło Sambora, jako jeden z siedmiu synów urzędnika austriackiego Franciszka Dietla i Anny z Kulczyckich.

Początkowo uczył się w Samborze, do gimnazjum uczęszczał najpierw w Tarnowie, później w Nowym Sączu. Studiował filozofię na Uniwersytecie Lwowskim, a następnie medycynę w Wiedniu, którą ukończył z tytułem doktora medycyny.

W Wiedniu rozpoczął praktykę lekarską.

W 1851 roku objął stanowisko profesora i kierownika Katedry Medycyny Wewnętrznej i Kliniki Lekarskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był również członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności i rektorem UJ. Funkcję tę pełnił aż do 1865 roku, kiedy to cesarz Franciszek Józef I specjalnym dekretem usunął go z katedry i kliniki bez podania przyczyny.

13 września 1866 Rada Miasta Krakowa stosunkiem 51 głosów za kandydaturą profesora przeciw 5 wybrała Józefa Dietla prezydentem miasta. Funkcję tę sprawował w latach 1866-1874 rezygnując w końcu wobec wzrastającej krytyki i oporu ze strony Rady Miejskiej. W czasie jego prezydentury w Krakowie podwojono miejskie dochody bez nakładania na miasto nowych ciężarów, uporządkowano Planty, stare mury i baszty obronne, odnowiono elewacje kamienic, przygotowano plany odbudowy i konserwacji Sukiennic, oczyszczono koryta starej Wisły, wybudowano sieć miejskich



wodociągów i utworzono miejską straż ogniową. W tym czasie rozwinął się Uniwersytet Jagielloński, powstały Szkoła Przemysłowa i Szkoła Sztuk Pięknych, a szkoły w mieście przejęto w zarząd.

Do jego zasług należy rozpropagowanie fizykoterapii, leczenia higieniczno-dietetycznego oraz balneologii. Jako pierwszy sklasyfikował polskie wody lecznicze. Dzięki niemu modne stały się polskie sanatoria – Krynica, Rabka, Iwonicz, Szczawnica oraz Żegiestów.

Józef Dietl ożenił się późno w 1846 r. z młodszą od niego o 19 lat Austriaczką pochodzącą z Wiednia – Heleną Zieterbarth, która jednak z powodu fatalnego samopoczucia w Krakowie postanowiła opuścić miasto i męża. Profesor zmarł bezpotomnie, a posiadany majątek zapisał bratankowi Leopoldowi Dietlowi, prosząc go o zabezpieczenie legatu również dla żony Heleny.

Został wyróżniony wieloma odznaczeniami i honorami, m.in. wybrano go Honorowym Obywatelom miasta Krakowa (1861), otrzymał Złoty Krzyż Zasługi z Koroną (1866), Żelazny Krzyż III klasy od cesarza Franciszka Józefa I (1869), a także Order Komandorski św. Grzegorza od papieża Piusa IX (1869). Towarzystwo Tatrzańskie uhonorowało go godnością członka honorowego 22 listopada 1874 r., jako jednego z pierwszych.

Zmarł 18 stycznia 1878 r. w Krakowie. Pochowany został na Cmentarzu Rakowickim. ■

Tekst: *Barbara Morawska-Nowak*

Co słyszeć w Polskim Towarzystwie Sudeckim?

W dniach 18-20 lipca 2008 roku w Ludwikowicach Kłodzkich, w Domu pod Dziewięciornikiem (Borek 15) u kol. Teresy Pelech-Chmury odbyły się II Nadzwyczajne Walne Obrady Polskiego Towarzystwa Sudeckiego. Pierwszym celem tych nadzwyczajnych obrad było uchwalenie III wersji Statutu, która by odpowiadała i Sądowi i członkom. W czasie obrad postanowiono także, że Dom ten stanie się Stacją PTS. W dyskusji wykazano troskę o niszczącą starą zabudowę, wartość troski i ochrony. Postanowiono podjąć współpracę z miejscowymi władzami w tym temacie.

Po przekazaniu mi tych informacji przez prezesa

Desławskiego odżyły wspomnienia sprzed jedenastu lat kiedy to odwiedziliśmy ten dom w czasie XIV Ogólnopolskiego Spotkania Oddziałów PTT w Górach Sowich, był tam także z nami Tomek Mazur ze swym przyjacielem z Oddziału, Czesławem Kurkowskim. Głównym akcentem tego spotkania zorganizowanego przez Oddział PTT w Brzegu, przy współpracy z Oddziałem Sudeckim PTT była uroczystość wręczenia ks. Józefowi Siemaszowi złotej odznaki „Za opiekę nad zabytkami” w odbudowanej z inicjatywy Oddziału w Brzegu kaplicy pw. Matki Boskiej Bolesnej na Górze Wszystkich Świętych (parafia Nowa Ruda-Słupiec). ■

Tekst: *Antoni Leon Dawidowicz*

Sprostowanie

W moim wspomnieniu zatytułowanym „Kolega po fachu i kolega z PTT” (*CS 212 - przyp. red.*) wkraść się przykry, bo zniekształcający nazwisko błąd. Ostatnie zdanie tekstu powinno brzmieć: „*Teraz czeka na nas w innym, lepszym świecie wraz z Bernardem Riemannem i Władysławem hr. Zamoyskim.*” ■



Tekst: *Ludwik Rogowski*

Ważne informacje od Skarbnika ZG PTT

Refundacja dla Oddziałów PTT z puli 1 %

W 2008 roku uzyskaliśmy z odpisów 1% podatku dla OPP kwotę **16587,94 zł**, czyli mniej więcej tyle, ile udało nam się uzyskać z odpisów za poprzednie dwa lata.

Oddziały PTT ubiegające się o refundację wydatków z puli konta 1% proszone są o składanie pisemnych wniosków z wyszczególnieniem rodzaju i celu wydatków. Wnioski muszą być udokumentowane oryginałami rachunków lub faktur VAT. Rozpatrywanie wniosków i ich zatwierdzanie odbędzie się na posiedzeniu ZG PTT w Krakowie w dniach 8 i 9 listopada 2008 r.

Refundacje mogą być realizowane w następujących rodzajach wydatków:

- wydatki związane z wydawaniem biuletynów informacyjnych PTT,
- wydatki ponoszone przy organizowaniu przez oddział PTT prelekcji, odczytów, prezentacji filmowych mających na celu upowszechnianie wiedzy o górach oraz historii ziem górskich,
- wydatki związane z upowszechnianiem kultury turystyki górskiej ze szczególnym uwzględnieniem Tatr,
- wydatki związane z działaniami mającymi na celu ochronę i ratowanie środowiska naturalnego i krajobrazu ziem górskich,
- wydatki związane z działaniami mającymi na celu ochronę dzieł kultury duchowej i materialnej mieszkańców ziem górskich,
- wydatki związane z popieraniem i inspirowaniem badań naukowych, poczynań twórczych i kulturowych związanych z górami i aktywności człowieka w górach,
- wydatki związane z popularyzacją wśród dzieci i młodzieży wiedzy o górach i propagowanie akcji zdobywania górskiej odznaki turystycznej PTT.

Oddziały PTT, które będą składać wnioski o refundację muszą wykazać się uregulowanymi wpłatami z tytułu odpisów składek członkowskich na rzecz ZG PTT za 2008 rok i za lata wcześniejsze.

(powyższa informacja opiera się na uchwale ZG PTT podjętej na posiedzeniu ZG PTT w Dolinie Chochołowskiej w dniach 19-20 stycznia 2008 roku.)

Przypomnienia

Oddziały, które chcą złożyć propozycję wydatków do założeń budżetowych na rok 2009, proszone są o przygotowanie i przesłanie tych propozycji do ZG PTT w terminie do 9 listopada 2008 r.

Oddziały PTT nie posiadające osobowości prawnej, sprawozdania z działalności finansowej Oddziałów PTT za rok 2008 wraz z oryginałami dokumentów finansowych składają w ZG PTT w terminie **do 15 stycznia 2009 roku**.

Oddziały PTT posiadające osobowość prawną składają w ZG PTT kopie bilansu, rachunku strat i zysków oraz informacji dodatkowych po złożeniu w/w w Urzędzie Skarbowym na terenie swojej działalności.

Przypominam również o obowiązku Oddziałów PTT uregulowania wpłat odpisów od składek członkowskich na rzecz ZG PTT za rok bieżący i lata ubiegłe.

Wydaje:

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie

redakcja: Barbara Morawska-Nowak, Szymon Baron

adres redakcji: ul. Konarskiego 21/5, 30-049 KRAKÓW

e-mail: morawska@ptt.org.pl, tel.: 0-12 634-05-89

wersja elektroniczna „Co Słysać?” jest dostępna na stronie <http://www.ptt.org.pl/>